

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Gospodarstwo mrówek.

(ciąg dalszy).

Mrówki wędrowne.

Mrówki, jak widzieliśmy, zakładają zwykle stałe siedziby, a opuszczają je tylko wyjątkowo, gdy jaki nieprzyjaciel zniszczy ich mrowisko. Są jednak w gorących strefach Ameryki i Afryki gatunki mrówek (*Ecitoni Dorylus*), które, jakby koczownicze plemiona ludzkie, nie mają stałego zamieszkania, a żyją wśród ustawicznych pochodów, niszcząc po drodze wszystkie napotymane owady, drobne zwierzątka, jaszczurki, napadają nawet straszego węża, Jutrzyne¹⁾, dochodzącego do sześciu metrów długości.

Mieszkańcy Afryki opowiadają, że gdy wąż ten upoluje jakie zwierzę zanim je połknie, musi upewnić się, iż w pobliżu niema mrówek wędrownych. Napadnięty bowiem w stanie odrętwienia uciekać, ani bronić się nie może i staje się łupem drobnych tych owadów. Jeśli zaś w porę jeszcze spostrzeże groźne napastniczki, zostawia im swą zdobycz, a sam chyłkiem umyka.

Zdarza się, że koczownice spotykają po drodze gniazda innych mrówek, wtedy rzucają się na nie gwałtownie, a dostawszy się do wnętrza mrowiska, mordują tysiące spokojnych mieszkanki.

Nie mając stałego mieszkania, zatrzymują się tylko czasowo w spróchniałych pniach drzewnych, w szczelinach skał, lub w miejscu bezpiecznym pod kamieniem, albo budynkiem.

Stąd w nocy, lub w dzień pochmurne robią wycieczki. Gorące promienie słońca są za-

bójcze dla wszystkich gatunków mrówek. Jeśli więc przypadkiem znajdą się w pochodzie wśród



Pochód mrówek wędrownych.

upału, a uboga roślinność nie chroni ich przed słońcem, budują wtedy z grudek ziemi, zlepionych śliną, jakby daszki nad swoją drogą.

Czasami w podróży zaskoczy je deszcz ulewny: drobniejsze mrówki, porwane falą, zgi-

¹⁾ Python natalensis.

nęłyby z pewnością. Przychodzą im wówczas z pomocą większe robotnice. Tworzą z własnych ciał sklepienie, ochraniając tym sposobem od śmierci słabsze towarzyski.

Innym znów razem niewielki strumyk przecina drogę podróżnikom, a ominąć go niepodobna. I w tym wypadku pomysłowe te a do poświęceń dla ogólnego dobra zawsze gotowe stworzonka, trzymając jedna drugą silnie łapkami, tworzą żywy most, po którym przeprawia się cała drużyna. Zwalczając w podobny sposób wszelkie przeszkody, potrafią one wcisnąć się w każdy zakątek, a kiedy splądrują już doszczętnie jedną miejscowość, wyruszają dalej. Oryginalny widok przedstawiają szeregi mrówek, maszerujących, jakby w szyku bojowym. Po bokach, w miarowych odstępach, uwijają się mrówki, różniące się od zwykłych robotnic wielkością i silnymi szczękami. Są to niby oficerowie, pilnujący porządku. Armie takie chodzą szlakiem, kilka stóp szerokim.

Pewien podróżnik opowiada, że widział w Gyanie, (w południowej Ameryce), olbrzymi taki pochód. Poprzedzał go szelest suchych liści, poruszanych przez uciekające zwierzęta i owady. Potem ukazały się mrówki. Zajmowały one przestrzeń przeszło 40 stóp szeroką. Pochód ten trwał dobre pół godziny. Naprzód uciekały przed nimi myszy, jaszczurki, chrząszcze, gdyż wyczerpane rozpaczliwą ucieczką w końcu wszystkie uleść musiały. Inne mrówki wychodziły na każde, po drodze spotykane drzewo, i niszczyły chcące ratować się tam owady. Lecz znaleźli się też mściciele niewinnych ofiar; wśród gałęzi tych drzew uwijały się drobne ptaszki, które czyniły ogromne spustoszenie w armii najeźdźców. Jeśli takie niezliczone mrowie wtargnie do mieszkania ludzkiego, oczyści je w przeciągu kilku godzin z wszelkiego robactwa. O jednym takim najściu na wyspie Trinidad, w południowej Ameryce, opowiada nam pewien przyrodnik.

„Rano zauważono pojawiające się gdzieś koło domu mrówki. Przybywało ich coraz więcej, aż wreszcie zaczęła się straszna walka: jak wyćwiczeni w boju najeźdźcy, wdierały się mrówki długim szeregiem na belki i stamtąd zrzucały karaluchy swym towarzyszkom na ziemię, te zaś porywały je i unosiły do tymczasowych spiżarni. Dwie osy, ratując się, zfrunęły z okna, i siadły na sukience małej dziewczynki. Matka kazała jej stać spokojnie.

Mrówki weszły na sukienkę ściągnęły swe ofiary na ziemię, nie czyniwszy dziecku żadnej krzywdy.

Otworzono potem w domu wszystkie szafy, mieszkańcy wyszli na dziedziniec, pozwalając przybyszom gospodarować swobodnie.

Wyginęły w ten sposób osy, stonogi, świerszcze, myszy, szczury, jaszczurki, węże i wszelkiego rodzaju stworzenia, które są istną plagą mieszkańców gorących stref. To też krajowcy słusznie uważają takie najście mrówek za prawdziwe błogosławieństwo Boże.

Wszystko to trwało zaledwie kilka godzin: o dziesiątej godzinie pojawiły się pierwsze mrówki, o 12-ej wrzał największy bój, o 3-ej uspokoiło się zupełnie, tylko w trawie w koło domu roiły się napastniczki, kończąc swą ucztę, a między 4-ą a 5-ą rzuciły się na nie czarne ptaszki, niszcząc znowu miliony mrówek.



Żywy most, po którym przeprawia się cała drużyna mrówek.

Podobny cokolwiek, chociaż na małą skalę popłoch i spustoszenie sięją wśród owadów i nasze europejskie mrówki. Pewnego razu znany badacz, August Forel, który przez długie lata śledził obyczaje mrówek europejskich, wysypał na trawnik cały worek mrówek łąkowych. „W jednej chwili wzięły one w swe wyłączne posiadanie wszystko, co tylko znajdowało się na ziemi, lub pod nią. Świerszcze i stonogi musiały uciekać i kryjówki swe porzucać, piewki, tryszcze, biegusy, pajęczaki i szczypice ratowały swe życie, wyskakując na wszystkie strony, wałęsy, skaczele opuszczały swą zdobycz, pleszki, skakulce i susówki zmykały coperędzej, aby nie wpaść w paszczęki nowych przybyszów“.

(d. c. n.)



Z rozmyślań letnich.



O, młodość cierpi — lecz ły łątwo płyną,
I łąpiew coraz łąwieży je osusza,
A choć przygięta cierpienia godziną,
Do łąowych marzeń wstaje młoda dusza!



O, młodość cierpi, walczy i boleje,
Nieraz gorzkiemi łzami się zalewa,
Lecz młodość jutro ma... przyszłość... nadzieje...
Co jak skowronek nad uchem jej śpiewa.



Młodość ły często ze śmiechem przeplata,
Ból, radość spółem w młodem sercu gości...

Choć już przeszedłem kęs czasu, kraj świata,
Nie zapomniałem promiennej młodości!...

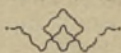


Bo rozczarowań krepę — krasna wstęga
Nowych wciąż złudzeń wytrwale przewija,
Brzaskiem jutrzeńki jest — wiosny potęga,
Szkoda jej — szkoda, że tak szybko mija!



Błogóławione złudzenia, zachwyty,
Łzy twe, młodości, co za radość płacą!...
Serca krzep czyste — duchy wiedz na szczyty,
Bądź siłą — męstwem — wytrwaniem — i pracą!...

Bożymir.



Z. Morawska.



Przygody Imię Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

Koncepty sypały mu się jak z rękawa, jeno czasem wśród tych konceptów lubił łątkę przypiąć któremu z dygnitarzy, nie miał też pomiarkowania i dla dostojników kościoła na dworze wojewody bywających.

Strofował go za to Chudzina, mówiąc:

— Stryj twój duchownym i takim, że daj Boże każdemu być jego owieczką.

— Ale z grubą wełną, — odpowiedział śmiejąc się Mikołaj.

— Ej, bo jak dojdzie do uszu j. wielmożnego wojewody albo jego małżonki, — groził Koniecki, z którym mimo kilkorazowej sprzeczki w wielkiej byli amicycyi.

Ale jakoś nie doszło, a Rej układał, a potem wyuczył jak i co, kto ma mówić i czynić

podczas uroczystości, które jako siurpryzę dla królowej gotowano na zamku.

Tęczyński bowiem rzekł raz królowi:

— Mam dworzanina, który z przyrodzenia do wszelkich uciesznych krotochwil ma zdolność, — gdyby najmiłociwszy pan pozwolić raczył zaprodukowałibyśmy na dworze to, co teraz układa.

— Nie wadziłoby, jeżeli ucieszne, — rzucił król.

— Żałoba po najmilejszym naszym siostrzeńcu się kończy, a ukochana nasza małżonka za rozrywką wzdycha, — dodał po chwili.

Tęczyński, mając zezwolenie monarchy wielce się ucieszył, ile, że sam nawykłszy do rozmaitych krotochwil w podróżyach po obcych krajach, chętnie na takowe lubił poglądać, a też tuszył sobie, że i królową przy onych uroczystościach łącniej pozyska.

Zawrzało więc jeszcze więcej na jego dworze, a zawrzało też i na dworze królewskim.

Dwórki przeczuły zabawę, — królowa choć udawała, że nie wie o siurpryzie, cieszyła się również, że przerwie się monotonne życie i mimo przyrodzonego skąpstwa rozkazała ochmistrzyń:

— Niechaj dwórki swe szaty odświeżą, a nawet z mojej szkatuły na każdą wydać po trzy talary. ¹⁾

— I mnie też aksamitny niebieski kabat w złote gwiazdy przygotować i czepiec klejnotami szyty, jeno nie bardzo na czoło, — dodała.

Przy tych przygotowaniach w mig przeszedł adwent, a że podczas rorat dwórki wielce wzdychały, żeby jaknajprędzej na Pasterce kolendę zaśpiewano, toć w tem i grzechu nie było.

Wzdychał do tego i Rej.

Ozwał się też do imię Zofii Kosnówny, córki Jana z Sędziszowa, a siostrzenicy biskupa Rożego, która podówczas była na dworze wojewodziny.

— Żeby tak imię panna Zofia wujaszka poprosiła, toby i święta przybliżył.

— Jakoż to może być? — zdziwiła się dwórka.

— Toć jak biskupi a księza każą tak się ze świętami i postem dzieje, — odparł urągliwie.

— A cóż to waćpanu post się tak przykrzy? — spytała panna, nie wiedząc do czego zmierza.

— Ba, nie oto idzie, jeno, że wszelkie posty, to niepotrzebny wymysł, — rzucił niedbale Mikołaj.

I zaraz dwornie dodał:

— A chciałbym jak najprędzej imię panny jako królową lasów obaczyć.

Zofia, która bardzo się oburzyła zrazu za napad na posty, zapomniała o tem i spuściwszy oczy, mile się uśmiechnęła.

Nadszedł nareszcie dzień Trzech Króli.

Wielką salę zamkową przybrano jedliną, ustawiono też moc kwiatów, które w ogrodach królewskich z wielkiem staraniem hodowano, ²⁾

¹⁾ Historyczne.

²⁾ Prawdziwe.

a gdy królestwo ichmość zasiedli, a dwórki i przedniejsi panowie otoczyli ich kołem, na dany znak przez ochmistrza dworu rozsunięta się wzorzysta zasłona.

Nawet królestwo ichmość nie mogli się powstrzymać od zachwytu, ośmioletni zaś ich syn i następca tronu Zygmunt oraz siedmioletnia Izabella ³⁾ wykrzykiwali z radości, klaszcząc w ręczęta ile im sił starczyło.

Bona zmarszczyła brwi i ostrym głosem rozkazała:

— Wyprowadzić ją!

Ale Zygmunt pochwycił siostrę, wołając:

— Nie pozwolę!

Przyczem tupnął nogą i spojrzął gniewnie na ochmistrzynię, chcąc spełnić rozkaz królowej.

Uczyliło to pewne zamieszanie, aż kanclerz Krzysztof Szydłowiecki szepnął coś królowi, a potem osobiście wrzawę uciszył.

Nienawidzona przez matkę Izabella została, a chwilowe zamieszanie jakoś przycichło.

Każdy też z przyjemnością poglądał na scenę gdzie las nader misternie z drzew iglastych ustawiony, a oświetlony wychylającym się księżycem nader ładująco wyglądał.

Tem więcej zaś ludził spektatorów i głośny zachwyty w królewskich dzieciach wzbudzał, że po tym lesie snuły się najrozmaitsze zwierzęta.

Więc był chytry lis, który łapał gęsi za skrzydła, było wilczyisko uganiające się za baranem, były zajaczki śmiesznie skaczące na dwóch łapkach, nie brakło też i psów goniących za zwierzyną i wiele innych zwierząt, które mimo tej gonitwy w wielkiej amicycy na pozór żyły.

Aż nagle rzuciono im żer.

Dalejże wszystkie kłócić się z sobą i do oczu sobie z pazurami i kłami.

Nawet baran widząc inne zwierzęta zważnione, z rogami na wilka wyskoczył, i tak go ubódł, że ten zatoczywszy się, upadł srodze zraniony.

Zrobiło się wielkie zamieszanie, wszystkie zwierzęta głosem swoim ryknęły.

Ale ryknęły tak do taktu i melodyi, że uszu dostojnych słuchaczów wcale to nie raziło.

Wtem ukazała się złotowłosa królowa lasów, i skinieniem ręki zważnionych do porządku przyprowadziła.

I zaraz wszystkie obstałpiwszy ją, poczęły się łaścić i kraj jej szaty chwytać.

Aż na znak przez nią dany wszystko się uciszyło, a ona podniosłszy rękę do góry dźwięcznym rzekła głosem:

Gdy w Rzeczypospolitej żyć sposobnie chcecie,

Wszelakiej zwady zbędziecie,

A też i z sąsiady zażyć trzeba zgody

Ku monarszej i kraju całego osłody,

Boć Rzeczypospolitej na te kłótnie gwoli

I przykro jest poglądać i serce ją boli. ⁴⁾

I zaraz na piszczałkach ozwała się muzy-

ka, a wszystkie zwierzęta głosem swym przyrodnym wdzięcznie się ozwały.

Nie trzeba dodawać, że byli to dworzanie tak misternie za zwierzęta przebrani. Ale co najważniejsza, że chytry lis miał fizyonomię niemca, a baran, który rogami wilka pokonał z pod gęstej wełny wielce na węgry wyglądał. Królową zaś lasów nie był kto inny, jeno znana nam już panna Kosnowna, która i w rzeczywistości była do królowej Bony podobna, a strój jeszcze więcej to podobieństwo dopełnił.

Monarcha był wielce z tej uroczystości zadowolony, rzekł też do kanclerza Szydłowieckiego:

— Naszemu wojewodzie krakowskiemu jak w radzie tak i przy krotochwilnej zabawie konceptu nie braknie.

— O ile wiem, dał on tylko pozwolenie, a jeden z jego dworzan wszystko tak gładko ułożył, — odparł kanclerz.

— Sposobny jakiś człek, a nie dla kształtu głowę nosi, — rzekł król.

I zaraz dodał:

— Możebyśmy jego sposobność i dowcipku czemu innemu spożytkowali.

— To młodzieniaszek, i Bóg wie co z niego jeszcze być może, — odparł Szydłowiecki.

— Młodzieniaszek? — spytała królowa.

— Radziłyśmy go poznać, a też i ową leśną królowę, — mówiła zwracając się do kanclerza.

Szydłowiecki nie opuszczając miejsca przeznaczonego dlań przy monarsze, szepnął najbliższej będącemu, ten znów podał życzenie królewskie dalej i wkrótce przed parą monarszą Tęczyński przyprowadził imé Mikołaja Reja, a tuż stanęła panna wojewodzianka Kosnowna.

— Gładkości i postawy niejedna monarchini pozazdrościć może, — rzekł król do składającej ukłon Zośki.

— Przecz ona moim konterfektem zdaje się być miała, — rzuciła dość opryskliwe Bona.

— Mógłbym się omylić i wziąć ją za najmiłościwszą matuleńkę, — ozwał się Zygmunt, który wyrwawszy się ze swego otoczenia, wsrubował się między stojących przed królewską parą.

(d. c. n.)

Bezrobocie zwierząt.

Żarcik sceniczny w trzech odstępach

przerobiony z ang. przez B. Buyno.

(Ciąg dalszy.)

SCENA IV.

KUCHARKA.

— Co ja zrobię, nieszczęśliwa!

Bo na wszystkim dziś mi zbywa...

Niema masła, jaj, ni mleka...

Niema mięsa od rzeźnika!

³⁾ Później żona Jana Zapollii.

⁴⁾ „Nieznane polskie i łańskie wiersze“. Kraków 1849.

Bo zwierzęta bunt podniosły,
Nawet od rzeźnika osły!
Przyjdzie mi tu głowę stracić,
Głodną śmiercią strejk przypłacić...
Gdy wyczerpią się zapasy,
Co za czasy! co za czasy!

PANI BRZEZINA (z gniewem). Marcinowa! zastanówcie się co mówicie!? Strejk? Kto urządził strejk? Rzeźnicy?

KUCHARKA (ze złością).

— Niema się tu o co gniewać,
Bo co powiem, prawda święta:
Choć się nie mógł nikt spodziewać,
Urządziły strejk—zwierzęta!
(Jan wchodzi bardzo wzruszony).

SCENA V.

JAN. Proszę pana, idzie tu nauczyciel ze szkoły, z uczniami. Coś tam mówi, że zwierzęta urządziły strejk. I powiada, że one— niby zwierzęta — gniewają się, że się z nimi źle obchodzono... Czy może tu wejść?

PAN BRZOZA (z gniewem). Nicch wchodzi.

(wchodzi nauczyciel z uczniami).

SCENA VI.

PAN BRZOZA (surowo zwraca się do niego). Otóż i sprawca całej awantury! Jestem gotów wysłuchać, co pan masz do powiedzenia. Tylko proszę mówić krótko, bo muszę dziś jechać na zebranie Towarzystwa Rolniczego, a że nie mam ani kawalka konia bo wszystkie uciekły! muszę maszerować pi e chotą do stacyi, i bez śniadania w dodatku, bo niema mleka.

NAUCZYCIEL. Oddawna wiedziałem, że się na to zanosi, że konie wymówią posłuszeństwo, bo ludzie je swem okrucieństwem i w zyskiem doprowadzają do ogłupienia i zaguby. Że ucieknie niemilosiernie traktowane bydło rogate — i owce kaleczone przy strzyży i poniewierana niesłusznie, trzymana w brudzie nierogaczna i - potwarzane głodzone osły. I ptaki, — którym ludzie wybierają jajka i pi-sklęta, w nagrodę za to, że oczyszczają świat od szkodnych liszek, much nieznośnych i krwiożerczych komarów. I gęsi podskubywane, i kury trzymane w brudnych kurnikach—i ryby żywcem skrobane! Wiedziałem, że przyjdzie dzień, kiedy cały ród zwierzęcy zaprotestuje przeciwko niesprawiedliwości i odmówi swych usług niewdzięcznym ludziom. A wtedy dopiero przekonają się ludzie, jak źle im bez zwierząt!

Nie będą mieli mięsa, jaj, mleka, wełny, futer, pierza, nie będą mieli wołów i koni do obrabiania roli i przewożenia ciężarów.

Staralem się dla uniknięcia tego wpoić w serca moich uczni współczucie dla zwierząt, uczyłem ich, że zwierzęta mają także swoje poczucie.

Mam nadzieję, że moi uczniowie, gdy dorosną, potrafią stanąć w obronie prześladowanych zwierząt. Czy mogę na was liczyć, chłopcy?

CHŁOPCY (wszyscy razem). Możesz pan na nas liczyć! Nie zapomnimy twoich nauk! Niech żyje ten, kto nas uczy sprawiedliwości! Wiwa—a—a—a—t!

(Pan Brzoza zatyka uszy. Pani Brzezina mdleje i pada na fotel. Nauczyciel zakłada ręce na piersiach i uśmiecha się zadowolony. Służba stoi z otwartymi ustami. Chłopcy wiwatują coraz głośniej. Zastona spada).

Odsłona druga.

(Gab.net pana Brzozy w lokalu Towarzystwa Rolniczego. Wchodzi pan Brzoza, drugiemu drzwiami wbiega sekretarz Towarzystwa, z najeżonemi jak szczotka włosami. z wyrazem zdumienia na twarzy).

SEKRETARZ (gorączkowo). Proszę pana prezesa, zapewne już panu wiadomo, co się dzieje? Zwierzęta strejkują! Rzecz niesłychana! Zwierzęta wszystkich gatunków wystąpiły i deklarują, że tworząc bardzo liczny naród, mają swoje prawa i że postanowiły wyrazić, co czują i czego żądają, zbierają się na polu pod miastem. Policya ma pilnować porządku i wojsko także, to jest właściwie piechota — bo konnica i artylerya nie mogły wystąpić, ponieważ wszystkie konie uciekły do strejkujących. Ani jeden nie został w stajniach koszarowych.

Pod miastem zebrały się już wszystkie konie: powozowe, robocze, dorożkarskie i wojskowe. Tak bez wyjątku. W mieście wszystko do góry nogami! Wyszędłem na dyżur, to straż obywatelska czuwa nad porządkiem. Oko ludzkie nie widziało jeszcze nic podobnego! Zwierzęta zbierają się stadami i pędzą po ulicach. Ludzie zamykają sklepy, drzwi i okna, popłoch straszny.

PAN BRZOZA (zgnębiony). Potraciliście wszyscy głowy... I pan także, panie sekretarzu. Cóż to? Ludzie mieliby ustąpić zwierzętom? Istne szaleństwo. Panie sekretarzu... proszę o listy... Muszę je przejrzeć przed rozpoczęciem zebrania...

(Sekretarz podaje pakę listów, które pan Brzoza czyta z pośpiechem i rzuca na stół z niechęcią).

(mówi dalej). Nie wierzę swym oczom ani uszom! Temu, co czytam, temu co słyszę! Bezrobocie zwierząt ogarnia świat cały... W cóż

się obróci rolnictwo, jeśli sprawdzą się te wieści?! Jedwabniki wypowiedziały posłuszeństwo i nie przędą jedwabiu. Pożegnajcie się, piękne panie z jedwabnemi szatami. Pszczoły strejkują i niema miodu i wosku, ani pierników! Owce nie dają wełny, wielbłądy sierści, słonie postanowiły bronić swych kłów, wieloryby uciekły do bieguna Północnego i schroniły się tam, gdzie człowiek ich nie dogoni! Rzeźnicy zamykają sklepy, nie będzie mięsa, ani skór na obuwie, ani futer...

(Pada na fotel i zasłania twarz rękami).

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

Z wycieczek wakacyjnych.

Z Krakowa do Rabki.

Skwar dokucza porządnie, chociaż jest za ledwie po 10-ej, a daje się we znaki tem dotkliwiej, iż na dworcu w Krakowie ścisk i tłok nie do opisanania: wczoraj zamknięto szkoły, każdy więc śpieszy skorzystać z wakacyi i nie tracąc czasu uciec z miasta na świeże powietrze, w góry, a przynajmniej między pola i lasy. Pełno mundurków ze srebrnymi lub złotymi naszywkami na kołnierzach, pełno czapek, na których duże G lub R zdaleka rzuca się w oczy; pełno panienek, starszych i młodszych nie umundurowanych wprawdzie i nie noszących żadnych oznak, tem niemniej jednak niewątpliwie należących do licznego w Krakowie grona mło-

dzieży szkolnej, uczęszczającej do różnych gimnazyów, liceów, seminaryów lub innych szkół tutejszych. Niższe i średnie szkoły zamknęły już podwoje na całe dwa miesiące i jedynie wychowawcy uniwersytetu muszą jeszcze pozostać w murach miasta dwa do trzech tygodni.

Tłoczono się na dworcu, ale zarazem gwaro i wesoło, śmiechy i żarty rozlegają się ze wszystkich stron, bo każdy przyzna, że trudno o miłą porę roku, jak wakacye. Głosi to już dawno, powszechnie znana piosenka

Ach, wakacye to rzecz miła,
Wyśmienita rzecz!

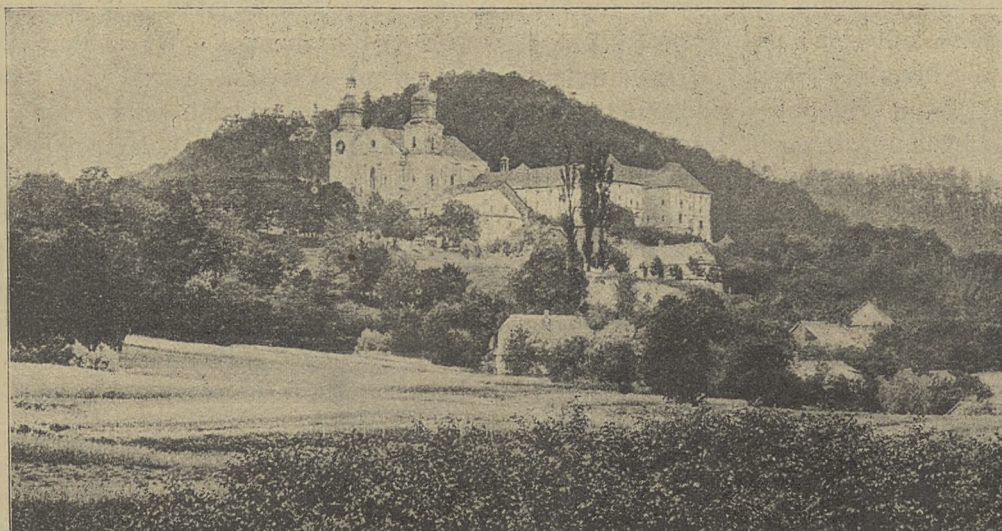
tak wyśmienita i miła, a tak zasłużona po całorocznej pracy, że można już wybaczyć dalszy ciąg piosenki:

Już nauka się skończyła,
Książki, idźcie precz!

Tembardziej, że i latem na wakacyach można niejedną chwilę spędzić pożytecznie nie tylko dla ciała, ale i dla umysłu, można pogłębić niejednen zimowy nabytek z książki, zdobyć niejedną nową a ciekawą wiadomość: co tu życia wszędzie wokoło, na polach, w lasach, wodach — tylko patrzeć i podglądać, kto lubi badać naturę żywą, tylko urządzać zbiory, kto chce w ten sposób usystematyzować swe spostrzeżenia! Materiału do nauki nie zabraknie nikomu.

Pociąg ruszył nareszcie, z 20-to minutowem opóźnieniem, jak bywa zwykle z wakacyjnymi pociągami, kiedy ilość czasu na wsiadanie przeznaczona jest taka sama, jak w zimie, ale podróży wsiada z 10 razy więcej, trudno więc, aby w takim przeciągu czasu mogli pozajmować miejsca w wagonach.

Każdy, kto mógł, postarał się zająć miejsce przy oknie, bo i Kraków warto jeszcze raz



Góra Kalwaryi.



My też kwiatki
w ciągłej dani
Kwitniem, pachniem —
wszystkie dla niej.
Józef Jankowski.



Wierszyk dla Maryli.

W dzień słoneczny strojne w szatki,
Rozmawiały z sobą kwiatki:
— Rzecz ciekawa - rzeknie róża —
Gdy na ziemi ludność duża,
Rzecz ciekawa, z tych tysięcy
Kto nas kocha najgoręcej:
Czy uczony, czy przyrodnik,
Czy poeta, czy ogrodnik.

*.

Więc zgadują, na swój sposób,
Wymieniają mnóstwo osób,
I nie godzą się na żadną,
Ot, nie zgadną!

*.

— Stójcie, stójcie! — do rozmowy
Tej się wtrąci lazuruwy
Kwiatek drobny, kwiatek pomny
Niezapominajki skromnej.

*.

— Rozważacie, lube kwiatki,
Kto nas kocha, jak człek rzadki,
Komu drogie nasze kwiecie:
Co? Nie wiecie?...

*.

A, ot, patrzcie, u okienka,
Siedzi biała tam panienka,
Wszystkie serca w krąg przychyła.
A nazywa się Maryla.
Ona jedna nas najczulej
Całą duszą pieści, tuli,
Ona jedna tak obficie
Niesie radość, niesie życie,
Bo to siostra prawa nasza,
Chociaż tego nie rozgłasza.

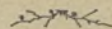
*.

Porwany przez wilki.

BAJKA

przez

Stanisława Krauza.



(Dokończenie.)

— Niestety — powiada Buras — pełno go wszędzie. Oto i ja mam ślady spotkania z nim. I przy tych słowach stare wilczyisko pokazało sporą szramę na boku. — Raz piłem wodę u strumienia koło roztrzaskanego przez piorun dębu i nie zdążyłem mu usunąć się. Zato przejechał mnie tak ślicznie kłem po boku, że zaledwie wylizałem się.

Śmiały i Odważny skoczyli na równe nogi i zawyli jednym głosem: — O, my nie darujemy tego staremu dzikowi. My mu pokazemy, jak to można dokuczać spokojnym mieszkańcom lasu! — Przy tych słowach oczy młodych wilczków zabłysły złością i odwagą. Starzy patrzyli na nich z zadowoleniem, lecz stary Buras rzekł z uśmiechem.

— No, no, nie tacy jak wy odgrażali się

na Ponurego a zyskali guza. Najpierw nauczcie się polować na zające.

Tego wieczora siedziałem sobie przed swą jaskinią i myślałem o rodzicach, którzy już od kilku dni zaprzestali mnie szukać, sądząc, że się utopił, gdy wtem z za drzew pokazały się głowy mych przyjaciół — wilków. Za chwilę siedzieliśmy już razem i gawędzili.

Śmiały wciągnął do płuc powietrza, przeponajonego zapachem sosen i jodeł i mówi: — Lepiej jest tutaj w lesie, niż w budzie na podwórzu dworskim, prawda? Patrz, jak tu ślicznie, jak pachnie, jaka swoboda i przestwór!..

Rzeczywiście ładnie było w lesie. Słońce już prawie zupełnie zaszło i tylko kilka czerwonych promyków wdzierało się jeszcze do lasu, barwiąc drzewa i naszą grupę, złożoną z dwu wilków i mnie, małego chłopca. Ptaki już ucichły w gniazdach, a gałęzie drzew poruszały się leciutko, jakby szeptały wieczorną modlitwę. Strumyk koło jaskini bulgotał, a z głębi lasu szedł chłód i zapach. Chwilę milczeliśmy wszyscy, wreszcie odezwał się Odważny:

— No, Władziu, czy chcesz dać nam pomoc w jednej bardzo niebezpiecznej sprawie, którą postanowiliśmy razem wykonać. Chcemy mianowicie oswobodzić las nasz od straszego dzika, Ponurego.

— Tak—powiada Śmiały—chcieliśmy pokazać mieszkańcom lasu, że choć chowano nas wśród ludzi, jednak zasługujemy na nasze imiona i, że nasz przyjaciel godny jest być w wilczej rodzinie!

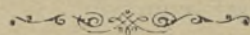
Zgodziłem się z ochotą i zaczęliśmy obmyślać plan wyprawy na Ponurego. Postanowiliśmy zacząć się przy strumieniu, dokąd przychodzi Ponury co wieczór na wodę i zaskoczywszy go znienacka, zabić przy pomocy mego nożyka i wilczych zębów. Tak też na drugi dzień zrobiliśmy. Zachód słońca zastał nas przy strumieniu. Przychodziły pić różne zwierzęta: z ukrytych nor wyruszały lisy, oglądając się ostrożnie naokoło, wiewiórki piły wodę i szybko wskakiwały na drzewa, aby po wierzchołkach dostać się do gniazda. Stada ptaków różnych przylatywały i nabrawszy wody przechylały w tył główki, połykając chłodzący napój. Cicho było i ślicznie nad strumieniem. A my we trzech siedzieliśmy w krzakach ukryci, czekając zjawienia się Ponurego. Nagle rozległ się trzask gałęzi i z krzaków wyszedł powoli ogromny kosmaty zwierz. Ale jakże wydał się słabym i litości godnym! Szedł bardzo wolno, ślaniając się, z pyska uzbrojonego w olbrzymie zakręcone kły sączyła się piana. Nie miał widocznie sił dojsć do strumienia i ciężko zwałił się na ziemię, dysząc i drżąc całym cielskiem.

Spojrzelśmy po sobie. Mnie nóż otwarty wypadł z ręki, a wilczki zamknęły paszcze, gdzie błyszczały ostre zęby. Spojrzałem na wielką a teraz tak biedną postać Ponurego; naraz zdjęła mnie litość, podbiegłem do rzeki, nabrałem w czapkę wody i przyniosłem zwierzowi. Wypił chciwie kilka czapek i to go nieco pokrzepiło. Spojrzał na mnie i w jego małych oczach widać było wdzięczność i zdziwienie. Widział pewno po raz pierwszy istotę na dwóch nogach idącą mu z pomocą, jemu, który dokuczał wszystkim mieszkańcom lasu.

Woda orzeźwiła go o tyle, że podniósł się przy mojej pomocy, kiwnął potężną głową, jakby na podziękowanie i powłókł się w las. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że Ponury zdechł. Ciało jego znalazły wilki i podzieliły się nim. Tak zakończyła się nasza wyprawa na straszego dzika, postrach lasu całego. Młode wilczki były przecież zmartwione, że nie mogły okazać swej odwagi, lecz ja, przyznać muszę, czułem zadowolenie, że nie przyszło do krwawej rozprawy, lecz że pomogłem biednemu zwierzęciu.

Jeszcze dni kilka tylko spędziłem w lesie. Na trzeci dzień może po wypadku z dzikiem, siedziałem przed swoją jaskinią i paliłem ogień, gdy wtem zjawia się postać starego gajowego. Zobaczył przypadkiem ogień i... znalazł zgubę, którą już we dworze oplakano. Nie zważając na nic, wziął mnie na ręce i zaniósł do dworu, gdzie opowiedziałem swe przygody tak, jak wam tu teraz opowiadam.

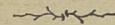
Na tem zakończył ojciec swą opowieść, a dzieci rozmyślały nad nią długo.



J. PIASECKA.



Dzielny Jędrus.



(Ciąg dalszy).

- Podróżny? — spytał.
 — Tak, a ty?
 — Ja robotnik, tłukę kamienie.
 — Ciężka robota?
 — Nie lekka, ale każda trudna. A ty co robisz?
 — Nic, idę na służbę, albo szukać roboty.
 — Do Łodzi?
 — Tak!
 Chłopak pokręcił głową.
 — Dziwujesz się temu?

— A no, przecież!

— Czemu?

— Boś jeszcze mały, dla takich trudno o robotę, chyba wezmą cię do jakiego rzemioła na *popychaja*.

— A co to *popychaj*?

Chłopak roześmiał się.

— Czy nie wiesz, czy udajesz?

— A skąd, jam ze wsi, tam takich niema!

— No, tak, we wsi inne zwyczaję może, a w Łodzi inne!

Widzisz, *popychaj*, to znaczy takie biedne stworzenie, co to biją ile wlezie, wymyślają ile wlezie, dają jeść, co im z brody skapnie, wszystkich musi słuchać, a grosza za to nie dostanie.

Jędrus spojrzał na mówiącego wystraszony.

— Co mówisz — zawołał — grosza nie dostanie? a ja przecież idę tylko dlatego, aby dużo i prędko zarobić!

Chłopak zaśmiał się:

— Muszę je mieć, muszę koniecznie zarobić prędko, choćby było Bóg wie jak ciężko; pracować będę!

Chłopak przyjrzał się Jędrusiowi uważnie, a później rzekł.

-- Pokaż no, jakie ty masz ręce?

Jędrus wyciągnął -- chłopak oglądał je na wszystkie strony, i powiedział.

— No, masz dosyć duże, rozrośnięte i wiadać żeś nie próżnował, wiesz, zgódź się i tłucz z nami kamienie. To jedna z najcięższych prac, ale widzisz płacą za nią nieźle! Chyba, że masz tam kogo z rodziny!

— Ale, gdzież tam! Nie wiem nawet gdzie jest to miasto, nigdy tam nie byłem!

— No, to ci dobrze radzę, zgódź się do kamieni!

Jędrus skwapliwie przyjął radę.

— Dobrze, dobrze, mój kochany, i o mała nie rzucił się na szyję z radości, swemu nowemu znajomemu — ale gdzie to iść, do kogo, nie wiem?

— Trzeba się zgłosić do kancelaryi pana inżyniera.

— A gdzie to?

— Tak dobrze, to ja nie wiem, bo mnie ojciec zapisał, ale wien, dziś tu podobno pan

inżynier przyjedzie na pomiar szosy, będzie oglądał ile zrobiono, i będzie mierzył stopy kamieni, to go poproś.

Jędrusiowi oczy zaświeciły z radości; chciał się jeszcze o coś spytać, ale robotnicy zawołali:

— Chłopaki, do roboty, Felek, Paweł, Karol, prędzaj!

Towarzysz Jędrusia podniósł się i schował resztę chleba do kieszeni.

— No, bądź zdrow, trzeba machać!

-- Pójdę z tobą — rzekł Jędrus.

— A chodź, przypatrz się robocie, może ci się spodoba.

Jędrus nie potrzebował jej się przyglądać, już mu się spodobała, skoro za nią można było zebrać pieuniadze na odkupienie krowy.

Zaznajomił się z robotnikami, najbardziej przypadł mu do serca stary Sikora, ojciec Felka, z którym najdłużej rozmawiał.

Felek powtórzył ojcu rozmowę, ten słuchał cierpliwie, a później spojrzał na Jędrusia i rzekł:

— Za mały i za szczupły, wątpię czy go inżynier zgodzi, zresztą, mój mały, nie znasz jeszcze roboty, to się i rwiesz do niej, ale spróbuj no podnieść młot w górę.

Mówiąc to, podał Jędrusiowi duży, ciężki, młot, a przytem wyciągnął do niego swe sprawowane, stwardniałe ręce.

— Patrz, tak wyglądają, gdy się niemi macha od rana do wieczora.

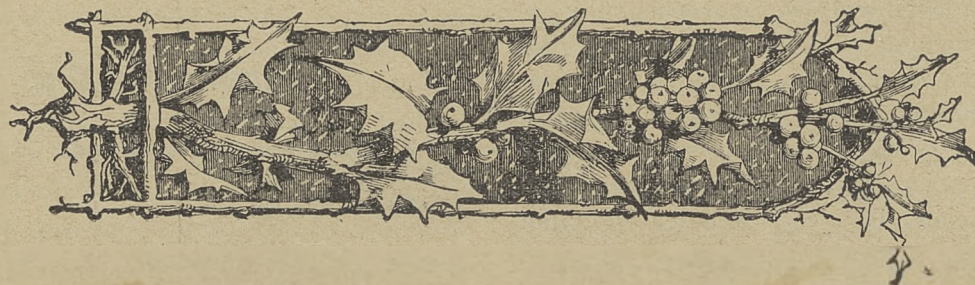
Jędrus spojrzał. Ręce Sikory były istotnie godne pożałowania. Skóra stwardniała, żyły nabiegły krwią, pęcherze na palcach pokrzywionych i pogarbionych.

— Widzisz, tak wyglądają ręce człowieka tłukącego kamienie na szosie, to praca ciężka, ten się jej czepia, kto już nic lepszego znaleźć nie może.

— A zarobisz dziennie za nią 50 kop., inżynier nie chce dać więcej.

Jędrusiowi wydało się to ogromnie dużo. Patrząc na miarowo wznoszące się i opadające młoty w górę i na dół obliczał, ile to trzeba dni tak siedzieć na szosie i tłuc, by zarobić kilka rubli. A żyć przecież trzeba, i gdzieś spać.

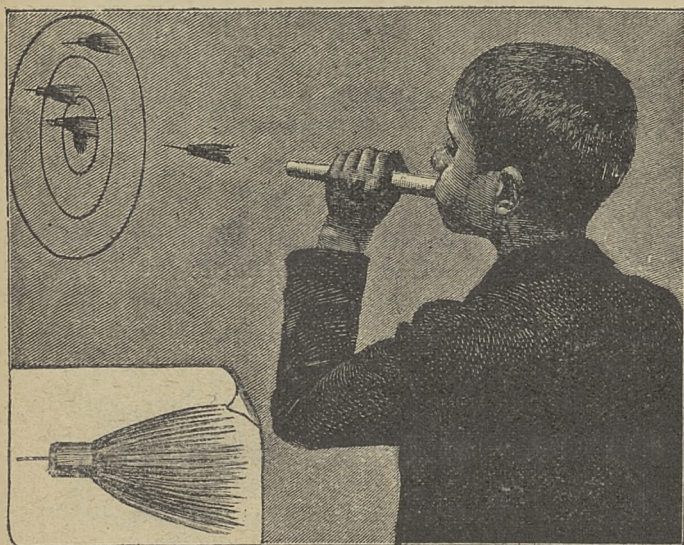
(d. c. u.)



Strzelanie z dmuchawki.

Że nawet stare pędzelki przydać się mogą, przekonacie się po przeczytaniu niniejszego artykułu, opisującego ciekawy sposób strzelania za pomocą dmuchawki.

Zacniemy od sporządzenia pocisków. Przypuśćmy więc, że posiadamy kilka starych, mało zdatnych do użytku, pędzelków. Wyrwamy z obsady piórowej włosieniowe kiście i wkładamy w nie od środka szpilkę, którą przesuwamy przez koniec okręcony mocno sznurkiem. Otrzymujemy tym sposobem pocisk przedstawiony z boku u dołu rysunku.



Teraz należy pomyśleć o sporządzeniu dmuchawki, bez której pociski niewiele zdziałać mogą.

W tym celu bierze się spory kawałek papieru i nawija kilkakrotnie na okrągłym piórniku lub grubym kiju albo drążku, a gdy ścianka tej papierowej tuby, a mającej służyć za dmuchawkę, osiągnie dostatecznej grubości, skleamy papier.

W przeciwieństwie do innych rodzajów broni, gdzie wielkość pocisku musi być ściśle dopasowana do średnicy lufy, w naszym strzelniczym orężu sprawa ta nie gra wielkiej roli.

Sami się zapewne domyślicie, że i materiał z jakiego zrobiona jest dmuchawka nie posiada też żadnego wpływu i a zamiast tuby papierowej z równym pożytkiem można się posilkować rurką szklaną lub trzećcinową. Przygotowania skończone. Aha! skończone! a gdzie tarcza? racya; rysujemy więc jeszcze naprędco na arkuszu papieru tarczę, pluskiewkami przypinamy do ściany i stajemy w odległości kilku łokci od niej.

Zaczynamy strzelanie: wkładamy pocisk do rurki ostrym końcem ku przodowi, przykładamy rurkę do ust i... dmuchamy.

Co się dalej dzieje, wskazuje dokładnie rysunek.

W zakończeniu objaśnić wypada, jakie znaczenie dla pocisku ma pęczek włosa: oto z początku, zatykając otwór tuby sprawia ściśnienie powietrza, które, doszedłszy do pewnych granic, wyrzuca swą siłą pocisk, — a potem w czasie lotu utrzymuje pocisk w poziomem położeniu.

als.



Zadania i łamigłówki.

Wieczór szaradowy.

(do nagrody).

I.

Drugie — pół biesa, *pierwsze trzecie* — mierzy,
Wszystek nie wisi, ale zwykle leży.

II.

Pierwsze drugie — strachy,
Pierwsze czwarte w szachy,
Trzecie daje niby,
Wszystkie dobre ryby.

III.

Trzecie drugie okrągłe zupełnie jak *trzecie*
Jako też *trzecie pierwsze*: *wszystko* nieraz jecie.

IV.

Drugie — to sama litera,
Pierwsze trzecie się otwiera,
Alho także się zamyka,
Wszystek — częścią jest języka
Tak nas uczy gramatyka.

uł. Em. L.

V.

Ilekróć *pierwsze z trzeciem* prują morskie waly,
Przedstawiają wraz widok groźny, lecz wspaniały.
Drugie w daleką przestrzeń toczą bystre wody,
Rozdziela swem łożyskiem dwa wrogie narody.
Czwarte jest to przyimek z bardzo krótkim brzmieniem,
A *wszystko* wraz kobiecem dość znanem imieniem.

Termin nadsyłania rozwiązań na pocztówkach, które następnie będą rozlosowane na nagrody, upływa za dwa tygodnie od dnia wyjścia numeru. Ilość nagród zależy będzie od ilości rozwiązujących.

Pocztówki winny być krajowego wyrobu.

Rozwiązania do N-ru 32-go.

Zadania przystawowego: Od świętej Hunki zimne wieczory i ranki.

Szarady: Tor-pe-do-wiec.

pożegnać, zanim zniknie zupełnie w oddali i trzeba napaść wzrok widokiem świeżych, zielonych pól i łąk, których się nie widziało tyle czasu. Szczególnie zaś starają się miejsca przy oknach goście z Królestwa, ci zwłaszcza, co pierwszy raz przyjechali do Krakowa i obejrzawszy gorączkowo miasto, bo czasu dużo nie ma — teraz chcieliby pochłonąć oczami całą okolicę.

Przejeżdżamy most na Wiśle i już jesteśmy na Podgórzu, tej Pradze krakowskiej. Z pierwszego podgórskiego przystanku, zwanego Płaszowem, linia kolei się rozdwaja: jedna idzie prosto na wschód, przez Bochnię, Tarnów, Rzeszów, Jarosław i dalej aż do Lwowa i na Podole; od niej w Tarnowie odchodzi linia na południe ku Węgrom, którą można dojechać do Szczawnicy, Żegestowa, Krynicy,

spotka go ta sama niespodzianka w Suchej, a wtedy znów się zwróci twarzą ku parowozowi.

Zmieniwszy kierunek, objeżdżamy półkolem Podgórza, oglądamy Krzemionki, kopiec Krakusa z fortyfikacyami. Domy stają się coraz rzadsze, zaczyna się ukazywać coraz więcej pól, czuje się świeższy wiew powietrza, chociaż upał daje się pomimo to porządnie we znaki. Na północo-zachodzie, za Wisłą widać pamiętną górę Bronisławy.

Nieco dalej również za Wisłą widać Bielany z ich ślicznie rysującym się klasztorem Kamedułów. Niechaj żałuje, kto ich zwiedzić nie zdołał!

Pociąg pędzi i za chwilę stajemy w Swozowicach, gdzie się znajdują głośne kąpiele siarczane. Garstka publiczności opuszcza wagony i pociąg rusza dalej.



Klasztor w Kalwaryi.

Iwonicza, Rymanowa. I na tej linii panuje w tej porze ruch gorączkowy.

Nasz pociąg jednak nie idzie tą linią, ale drugą, mającą kierunek południowo-zachodni i odchodzącą pod kątem do tamtej. Ale, że pociąg nie umie skręcać na miejscu, urządzi się więc inaczej: odczepiają mu lokomotywę, która odjeżdża, obraca się na specjalnem kole i zajęchawszy z tyłu pociągu, zaczepia się doń i ciągnie go z powrotem, aby w ten sposób poza obrębem dworca zakręcić w bok i wpaść na linię ku Suchej, którą właśnie mamy jechać. Niemiła niespodzianka dla tych, co lubią siedzieć twarzą w kierunku jazdy i dostają zawrotu głowy, jeśli muszą jechać tyłem. Ale najlepiej nie mieć takich przyzwyczajęń, kto je ma atoli, pocieszyć się może tem, że to jest ostatnie przeprężanie lokomotywy i zmiana kierunku;

Po kilkunastu minutach stajemy w Skawinie, skąd oddziela się linia na zachód, na Śląsk pruski, ku Oświęcimowi, przezwanemu ongi przez Niemców Ausschwitzem. Pozbył się on już dawno tej obcej niemieckiej nazwy, jak zrzucił ją z siebie w roku zeszłym Nowy Targ (Neu-Markt) i Żywiec (Saybusch) i jak stracił ją w przyszłości inne miasta, którym nasi wrogowie siłą narzucili obce miano.

Linia do Oświęcimia, biegnie równoległe do Wisły, ale nasza do Suchej przybiera kierunek południowy i żegna się już z Wisłą zupełnie, dążąc wprost do Karpat. Za jakie trzy kwadransy ukazuje się oczom naszym prześliczna Kalwaryja ze swym klasztorem sterczącym na górze, porosłej lasem, z mnóstwem do 50 kapliczek — stacyi męki Pańskiej, rozrzuconych na ogromnej przestrzeni po obu stronach toru

kolejowego: linia kolei wije się wśród lasów, pól i kapliczek, które ukazują się co chwila, to z prawej, to z lewej strony drogi, tak iż wprost niewiadomo, w którą stronę mamy patrzeć.

Z Kalwaryi odchodzi znów rozgałęzienie na zachód przez Wadowice na Śląsk, zwany austriackim, bo należy do Austrii, do Białej, Bielska, Cieszyna, Wisły. W Cieszynie wznosi się już polskie gimnazyum, powstałe z ofiar, złożonych przez cały naród; ilość polskich szkół ludowych wzrasta z dniem każdym.

Kalwarya stanowi kraniec podróży wielu mieszkańców Krakowa, którzy, nie potrzebując kuracyi w kąpielach a nie mogąc pojechać do Zakopanego spędzają lato tutaj. Pozostają w niej i ci, którzy dążą przez Wadowice na Śląsk. Ale my jedziemy dalej na południe ku Karpatom.

Mijamy na lewo Lanckoronę ze zwaliskami starożytnego zamku z XIV wieku, przejeżdżamy przez Skawę, pierwszy górski dopływ Wisły, który spotykamy i pierwszą zapowiedź gór — i w niespełną godzinę stajemy w Suchej, własność hr. Branickiego, posiadającej wiekowy pałac z biblioteką. Pałac ten ubiegłej zimy uległ częściowemu spaleni, i obecnie odbudowuje się. (d. c. n.)



Król Przestrzeni.



Ostatnia powieść **Juliusza Verne'a**.

Przekład **I. P.**

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XI.

Nowa wyprawa.

Tak więc mityczny kapitan ukazał się znowu i znowu na terytorium amerykańskim. Stąd należało wnioskować, że był Amerykaninem i że Amerykę tylko chciał uczynić widownią swych prób.

Z największą łatwością mógł się przecież dostać do Europy. Wobec niezwykłej szybkości przyrzędu przebycie Atlantyku zajęłoby najwyżej trzy dni. Burze nie stanowiły dlań przeszkody. Gdy na powierzchni oceanu szalały fale, o dwa-

dzieścia stóp poniżej poziomu mógł znaleźć zawsze spokój i ciszę.

Porozumienie między zarządem policyjnym w Waszyngtonie, a agentem w Toledo odbyło się w tajemnicy najgłębszej. Żaden dziennik nie otrzymał najlżejszej wzmianki o tem, że policya wpadła na trop tajemniczego kapitana; szło o to, by go nie spłoszyć przedwcześnie.

Przygotowania do odjazdu zrobione były oddawna. Zabraliśmy swe walizki i udaliśmy się na stację.

Toledo leży na północnej granicy stanu Ohio, nad brzegiem jeziora Erie. Pociąg pośpieszny w przeciągu nocy przewiózł nas przez Wirginię wschodnią i Ohio. O ósmej rano stanęliśmy w Toledo.

Na dworcu czekał nas agent policyjny, p. Artur Wells, który był uprzedzony o mojem przybyciu.

Przyglądał się bacznie wszystkim wysiadającym z wagonu.

Podszedłem ku niemu i przedstawiłem się.

— Jestem na usługi pana — rzekł.

— Czy mamy się zatrzymać w Toledo, czy też jedziemy wprost?

— Chcąc stanąć na miejscu przed wieczorem, musimy jechać natychmiast. Brek czeka nas na stacyi.

Skinąłem na agentów.

— Dokąd jedziemy?

— Do Black-Rock.

— Daleko stąd?

— Mil ze dwadzieścia.

Po drodze wstąpiliśmy do White-Hotelu, gdzie zostawiliśmy swe walizki i zjedliśmy śniadanie.

O dziesiątej byliśmy już w drodze. Zatoka Black-Rock leżała w miejscowości pustej i bezludnej, zabraliśmy więc ze sobą zapasy żywności na dni kilka. Lato było gorące, perspektywa więc spędzenia kilka nocy pod gołym niebem nie przstraszała nas wcale.

Zresztą, los nasz rozstrzygnie się za kilka godzin... Albo uda się nam uwięzić kapitana „Grozy” na łodzi, kiedy się tego spodziewać nie będzie, albo też wymknie się z rąk naszych i wtedy go żadna siła nie pochwyci.

Artur Wells, jeden z najzdolniejszych agentów policyi amerykańskiej, miał lat około czterdziestu. Silny, śmiały, przedsiębiorczy, obdarzony zimną krwią, odznaczył się już nieraz i to z narażeniem życia. Posiadał nieograniczone zaufanie zwierzchności, która ceniła go bardzo.

Przypadek tylko naprowadził go na ślad „Grozy”.

Para rączych koników unosiła nas szybko brzegiem jeziora Erie ku południowo-zachodniej jego części. Jezioro Erie leży między Kanadą,

stanami Ohio, Pensylwanią i New-Yorkiem, na wysokości 600 stóp ponad poziomem oceanu. Powierzchnia jeziora wynosi 80768 kilometrów kwadratowych. Na północno-zachodzie łączy się z jeziorem Huron i Saint-Clair, z południa wpadają doń rzeki Detroit, Rocky i Black. Wszystkie te wody zlewają się do jeziora Ontario, tworząc sławny wodospad Niagary.

Największa głębokość jeziora Erie dochodzi 135-ciu stóp. Aczkolwiek położone pod 40^o szerokości północnej, od listopada do kwietnia zamarza: wiatry bowiem arktyczne, wiejące od oceanu Lodowatego nie napotykają na swej drodze żadnych przeszkód i ogromnie obniżają temperaturę.

Oprócz głównych miast, jak Buffalo, Toledo, Cleveland, na brzegach jeziora znajduje się jeszcze dużo pomniejszych miasteczek i wsi, Erie bowiem jest ważnym punktem handlowym, obrót roczny wynosi najmniej 200000 dolarów.

Zacząłem rozpytywać pana Wellsa, co go skłoniło do wysłania depeszy do zarządu policyjnego w Waszyngtonie. Oto czego się dowiedziałem:

27-go lipca po południu Wells wybrał się konno do miasteczka Hearly. Przejeżdżając przez mały lasek o pięć mil od celu podróży spostrzegł statek podwodny wypływający na powierzchni jeziora. Zeskoczył z konia, ukrył się w gęstwinie i widział najwyraźniej, jak statek zatrzymał się w zatoce Crique-Black, a dwaj ludzie wysiedli na brzeg. Jeden z nich był, prawdopodobnie, owym Królem Przestrzeni, a przyrząd jego rozgłośną „Grozę“.

— Niestety byłem sam tylko — ciągnął pan Wells. — Gdybym miał do pomocy pana i agentów, możeby nam się udało pochwyć tych ludzi...

— Niewątpliwie — odparłem. — Dowiedzielibyśmy się od nich wreszcie całej prawdy...

— A może jednym z nich był tajemniczy kapitan „Grozny“?

— Obawiam się tylko, że statku możemy już w zatoce nie zastać.

— Przekonamy się o tem za kilka godzin.

— Czy przedwczoraj zostałeś pan w lasku do wieczora?

— Nie, około piątej odjechałem do Toledo i natychmiast wysłałem depeszę do Waszyngtonu.

— Wczoraj byłeś pan w zatoce Black-Rock?...

— Tak.

— Statek był tam jeszcze?

— Na tem samem miejscu.

— A ludzie?

— Ludzie byli także... O ile mi się zdaje, zajęci byli naprawianiem jakiegoś uszkodzenia... na brzegu, nagromadzony był nawet materiał...

— To bardzo możliwe, że uszkodzenia nie pozwoliły „Grozie“ wrócić do zwykłej kryjówki...

Czyżby jednak cała załoga tak skomplikowanego przyrządu, który się porusza z taką szybkością niesłychaną, składała się z dwu ludzi tylko?!...

— Nie sędzę, panie Strock... W każdym razie wczoraj i zawczoraj widziałem tylko dwu.

Kilkakrotnie wchodzili do lasku, gdzie byłem ukryty. Ścinali gałęzie, rozpalali ogień...

Zatoka jest tak dzika i pusta, że się nie spodziewali, by ich ktoś zobaczył.

— Przyjrzałeś się im pan dokładnie?

— Najzupełniej... jeden silnie zbudowany, średniego wzrostu, z brodą, rysy twarzy ma ostre... Drugi niższy, przysadzisty.

A zatem, od trzydziestu sześciu godzin tajemniczy statek znajdował się w zatoce Black-Rock, może więc zastaniemy go tam jeszcze i dzisiaj. Obecność „Grozny“ na jeziorze Erie nie zdziwiła nas wcale, ostatnim razem widziano ją przecież na jeziorze Górnem, skąd bez trudności przybyć mogła do Erie albo rzeką Detroit, albo też łądem. Tylko w takim razie byłby ją przecież ktoś spostrzegł na drogach Michiganu, strzeżonych przez policję...

Jeżeli jednak „Gроза“ opuściła już zatokę, co pozostaje nam do zrobienia?...

Wiedziałem, że w porcie Buffalo znajdują się dwa parowce. Mogłem je wezwać depeszą i wysłać w pogoń za *Królem Przestrzeni*, lecz „Gроза“ miała większą szybkość i mogła się przytem ukrywać w głębinie!... Gdybyśmy więc nocy dzisiejszej nie znaleźli statku w zatoce, wyprawa nasza zrobiłaby fiasko.

Wells zapewniał mnie, że zatoka jest pustą i bezludną. Nawet droga, prowadząca z Toledo do Hearly, przechodzi nieco dalej, o kilka mil od wybrzeża. Postanowiliśmy zatem zostawić brek w lasku, pod osłoną drzew, a gdy noc nadejdzie zbliżyć się do jeziora, ukryć wśród ostrych wysokich skał, i obserwować zatokę.

O siódmej zbliżyliśmy się do lasu. Było jeszcze prawie zupełnie jasno.

— Czy zatrzymamy się tutaj? — zapytałem pana Wellsa.

— Nie — odparł. — O kilkaset kroków dalej znajduje się ładna polanka, gdzie nas niczyje oko nie dostrzeże. Tam urządzimy popas, a skoro się ściemni, udamy się do zatoki.

Oczywiście zastosowałem się do rady pana Wellsa. Wysiedliśmy z breku i poszedliśmy pieszo. Las był tak gęsty, że ostatnie promienie zachodzącego słońca nie przedzierały się wcale po przez wysokie jodły, cyprysy i dęby. Ziemia, pokryta gęstym kobiercem traw, usiana była zeschłymi liśćmi. Ani śladu jakichkolwiek dróg lub ścieżek. Po upływie dziesięciu minut znaleźliśmy się na polance. Do zachodu słońca mieliśmy jeszcze co najmniej godzinę czasu, mogliśmy więc odpocząć nieco po długiej i nużącej podróży.

Woznica wyprzągł konie i puścił je na pastę, gdzie miały pozostać aż do naszego powrotu. Rozbiliśmy obóz u stóp wspaniałego cyprysu i zabraliśmy się do spożycia przywiezionych zapasów, głód bowiem zaczął nam dokuczać. Poczem zapaliliśmy fajki, oczekując upragnionej chwili zmroku. Niepokój pędził nas ku zatoce, lecz rozsądek nakazywał niecierpliwość. Dokoła panowała cisza zupełna. Nawet ptaki umilkły. Wieczór zapadał powoli. Świeży wietrzyk lekko poruszał liśćmi drzew. Wreszcie ściemniło się zupełnie.

Spojrzałem na zegarek. Było w pół do dziewiątej.

— Czas na nas, panie Wells.

— Idźmy zatem!

Wells poszedł naprzód. Ostrożnie posuwałem się za nim, a za mną John Hart i Nab Walker. Wśród mroków nocy mogliśmy z łatwością zgubić drogę, lecz szczęściem, Wells doskonałym był przewodnikiem. Wreszcie doszliśmy do skrajku lasu. Przed nami rozciągało się piaszczyste wybrzeże, dochodzące do samej zatoki. Wszędzie pustka i cisza.

Na znak dany przez Wellsa zbliżamy się powoli... Piasek skrzypi pod naszymi stopami... Jeszcze kilkaset kroków i jesteśmy na samym brzegu Erie...

Nie widzimy nic... nic!... Miejsce, gdzie wczoraj jeszcze pan Wells widział „Grozę”, puste... A więc Król Przestrzeni opuścił już zatokę Black-Rock!... (d. c. n.)



Małpka z dobrą pamięcią.

ZE ŚWIATA.

Pamięć małpy. Pewna dama angielska lubiąca niezmiernie zwierzęta, nabyła od wędrownego grajka małpkę, z którą ten obchodził się z wielką surowością. Małpka była bardzo układna i miłą, to też zyskała względy swej nowej właścicielki i często przebywała przy niej, nawet w czasie przyjmowania gości.

Pewnego razu na świetnym raucie u tej

pani grał na fortepianie jeden z najsłynniejszych mistrzów europejskich. Wyobraźcie sobie zdziwienie obecnych, kiedy po skończonej grze, która wywołała burzę oklasków, z jakiegoś kąta salonu — wyszła z powagą małpka z cylindrem w ręku i zaczęła kolejno obchodzić gości, wskazując gestem, że chodzi o złożenie datku do kapelusza. Ubawieni goście rzucali drobną monetę, wreszcie małpka podeszła do muzyka i wysypała mu na kolana wszystkie ofiary, jak to czyniła z poprzednim swym właścicielem, po

jego przygodnych koncertach w gospodach szynkach.

Powrót z pod bieguna. Do brzegów północnej Norwegii przybył w tych dniach okręt „Terra nuova“, wiozący na swym pokładzie rozbitków z wyprawy do bieguna północnego, podjętej na koszt zmarłego niedawno milionera amerykańskiego Zieglera.

Wyprawa została przedsięwzięta na okręcie „America“ odpowiednio do potrzeb ekspedycji przystosowanym; mimo to jednak nie dotarła do bieguna, gdyż wskutek niezwykłego naporu lodów okręt uległ rozbiciu. Załoga statku i członkowie wyprawy w ogólnej liczbie 38-u osób szczęśliwie ocaleli, za wyjątkiem jednego Norwega, który katastrofę przypłacił życiem.

Chociaż wyprawa nie osiągnęła ostatecznego celu, ale jak zapewnia kierownik całego przedsięwzięcia, wszystkie spostrzeżenia naukowe, jakie były zakreślone w planie, udało się skutecznie pomysłnie.

Studenci na roli. W czasie ubiegłych żniw na oryginalny pomysł wpadli gospodarze rolni w stanie Kansas w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki.

W rzeczonyj miejscowości ogromnie obrodziła się pszenica, a że dawał się uczuć brak robotników rolnych, więc właściciele ferm zwrócili się przed żniwami do uniwersytetów okolicznych z propozycją: czyby nie zechcieli biedniejsi z pośród studentów spędzić wakacji na polach w charakterze płatnych robotników.

Oferta została przyjęta i znaczna grupa młodzieży uniwersyteckiej stanęła do ciężkiej ale zdrowej pracy fizycznej na roli.

Z niezwykłych pracowników fermerzy byli podobno zupełnie zadowoleni.

Lalka mechaniczna. W Londynie budziła niedawno powszechną ciekawość wielka lalka mechaniczna, sześć stóp wysokości mająca, a więc wzrostu wysokiej kobiety, która popisywała się spacerowaniem po scenie i jazdą na rowerze.

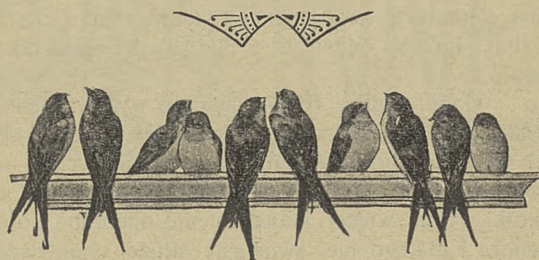
Widzowie sądili z początku, że to żywa kobieta udaje lalkę, ale przekonali się o mylności swych przypuszczeń, gdy pod koniec przedstawienia wewnątrz głowy lalki oświetlono lampką elektryczną, a wreszcie odszrubowano ręce, i nogi.

Mechanik który, tę lalkę niezwykłą zbudował ma zamiar objechać i inne miasta europejskie. Może nawet zawita kiedy do Warszawy, wówczas będziemy mogli sami podziwiać nadzwyczajną sprawność mechanicznej lalki.

Słońce podpalaczem. Dziwnie brzmi ten nagłówek, a jednak w rzeczywistości przed kilkoma tygodniami w Anglii w mieście Galashiels słońce spaliło fabrykę wyrobów bawełnianych, przypalając właściciela jej o znaczną stratę.

Jak stwierdziły badania, skutkiem długotrwałej suszy i mocnego działania promieni słonecznych zapaliły się przesiąknięte oliwą odpadki bawełny. Robotnicy byli zajęci w in-

nych oddziałach, wobec czego ogień wkrótce ogarnął cały gmach, uniemożliwiając ratunek, tembardziej, że skutkiem przepalenia się podłóg, maszyny z górnych pięter przebiły sufity i pospadały na dół. Ogień, mający skutkiem tego dostęp wszędzie, w ciągu trzech godzin strawił doszczętnie całe urządzenie, zostawiając jedynie gołe popękane mury.



Skrzynka do listów.

Mam i dziś pokusę zacząć korespondencję od wstępu *do wszystkich* i w tym wstępie opisać majówkę, czy też właściwiej mówiąc, sierpniówkę, jaką urządziliśmy tu przed kilku dniami, dla zwiedzenia Zamościa. Byłoby radości, było! Bo to i droga w licznej gromadce przedstawiała się wesoło i cel wycieczki nęcił wspomnieniami drogich miejsc. Kiedyż właściwiej pielgrzymować do Zamościa jeśli nie w tym roku, skoro jak wiecie, bo pisały o tem nasze «Wieczory», obchodzimy 300 letnią rocznicę śmierci Jana Zamoyskiego. Widziałam nawet na trumnie wielkiego kanclerza i hetmana wianek z datami 1605 i 1905, schodziliśmy do grobów w kolegiacie. Jakże wstrząsające robi ten grób wrażenie. Prosta dębowa trumna i na niej żadnych tytułów, żadnych pochwał dla zmarłego, nic prócz imienia i nazwiska, ale mówią one tyle i tak targają sercem, że dusza pada w prochu przed wielkimi prochami.

Nie mogę szczegółowo opisywać jak to Jaskółka wybierała się z całym gronem piskląt, jak pakowano do wózków koszyki z mlekiem, bułkami, owocami i pieczonkami kurczętami, które wesoło zajadaliśmy potem na popasie w Zamościu. Wesoło też upłynęła droga, jechaliśmy temi samemi szlakami, po których pędzili dawniej Tatarzy, gdzie później gospodarzyli Szwedzi, ale myśl naszą niepodzielnie zajmował dziś wielki hetman. Szosa wiodła od Krasnegostawu, to jest z miejsc, gdzie Zamoyski więził austriackiego Maksymiliana, a biegła dalej przez Zamość i Tomaszów, miasta, które dwóm kanclerzom Zamoyskim powstanie swe zawdzięczają. Niema doprawdy miłszej rozrywki jak zwiedzać kraj rodzinny, ta równa, doskonała szosa ciągnęła oczy w dal, kusząc aby jechać dalej, jechać przez *Belz* do *Żółkwi*, po nowe wspomnienia do Lwowa, a potem bodajby dalej na *Brody*, *Oleszno* do *Podhorzec*, gdzie stoi dotąd nieruszony stary zamek, z wytoczonymi na mury armatkami, z podniesionym zwodzonym mostem, z hucem husarzy gotowych wylecieć przeciw Tatarom lub Turkom. Husarze, to stara zbroja na drewnianych koniach i drewnianych żołnierzy przywdziana, ale złudzenie skrzydlatego pułku rycerzy jest zupełne, doznała go wasza Jaskółka fruując przed laty po szlakach, na które wjechała dziś z nową gromadką, żeby tym razem zatrzymać się tylko w Zamościu. Podziwialiśmy tam piękny ratusz i czworobok starych kamienic, zbudowanych na wielkich podsieniach ze sklepami, które przypominają krakowskie kramy w Sukiennicach. Wiele domów zachowało szczątki fresków, najcenniejsze jednak dzieła sztuki widzieć można w kościele.

Jest tam stary obraz przedstawiający Zwiastowanie N. Panny i nowa zupełnie rzeźba na grobowcu zmarłego niedawno ordynata Zamoyskiego. Oba dzieła wykonali włoscy artyści, a trzeba przyznać, że są bardzo piękne. Piękne, więcej zaś jeszcze drogie pamiątki, zachowane także w skarbcu kolegiaty, ale są to wszystkie drobne okrucy, trudno sobie wyrobić z nich pojęcie o tem czem przed laty był Zamość ze swoją akademią, biblioteką, świątyniami, zwłaszcza zaś z cnotą obywateli, którzy oddawali życie swe i mienie dla dobra ogółu.

Gadu, gadu... rozpowiadam o wycieczkach do Zamościa, a listy czekają na odpowiedź. Prawda, że jest ich niewiele, bo czemu nie dziwię się wcale, wolicie obecnie biegać po polach i lasach niż pisywać do Jaskółki. Tem więcej jednak cenię odebrane korespondencje i dlatego nie zwlekając dłużej odpowiadam na list *Borówki*.

Dwa lata milczałaś *Borówko* to istotnie bardzo długo, mam ja inną korespondentkę, która tego samego używała pseudonimu choć zmieniła go niedawno. Ta wierna, często pisująca *Borówka* dobrze mi jest znana, więc umiałabym dać jej radę, wiedziałabym także o ile słusznie narzeka na świat i ludzi. Ale tobie, która latami nie odzywałaś się do *Jaskółki* czyż stary ptak potrafi odświegotać słowa ufności w serca i dobrą wolę bliźnich? Kiedy się idzie krok za krokiem, śladem duszy pisklęcia, to się nad tą duszą zyskuje przewagę i takiego właśnie stosunku pragnę z wami korespondentki moje kochane. Pragnę zyskawszy wasze zaufanie pomagać w poprawie wad, umacniać w wątpliwościach. Na to muszę jednak znać wasze serca, czemuż twoje *Borówko* tak długo stroniło od wiernej mojej przyjaźni? To przecież z pewnością twierdzić mogę, że niesłusznie uogólniasz fakty jakich byłaś świadkiem. Że takie istnieją, wierzę, choć smutno przyznać ci słuszność, ale znam bardzo wiele przeciwnych przykładów i żałować cię tylko mogę jeśli na złe trafiłaś otoczenie. Bodajbyś je zmienić mogła, a gdy nie zmienisz to probuj, może ci się uda wyrzucić dobry wpływ na towarzyszkę, zachęcić do szlachetnej pracy, chociażby ta nawet samodzielnej wymagała inicjatywy w braku poparcia ze strony przełożonych. Tylko chciej szczerze, działaj z wiarą i zapamiętaj, a możesz wiele zrobić dobrego. Ja ufam wam młodym, że wedle słów *Asnyka*, «Szukacie prawdy jasnego płomienia», ale ufając mam prawo żądać byście i wy wierzyły w hasła jakie wam przekazuję, kochajcie, kto kocha, ten dla jednej szlachetnej duszy stu innym wybaczyć gotów. Kiedy napiszesz znów do mnie *Borówko*?

Pytasz *Koniku polny* czy lepiej pracować jak pszczoła, czy przygrywać do pracy jak to robią twoi imiennicy z pseudonimu? A czyż sztuka nie jest też

pracą? Czyż bez doskonalenia się zdobyłby artysta laury? Niemieckie przysłowie mówi, że: «Ćwiczenie czyni mistrzem» i słusznie tak twierdzi. Nikt sam sobie talentu dać nie jest w stanie, bo to iskra, którą Bóg zapala w sercach wybranych jednostek, biada zaś lekkomyślnym jeśli iskry rozdmuchać pracą i miłością nie potrafią.

Kołowrotkowi donoszę, że chociaż dziś u nas mniej niż dawniej prządek, to należałoby życzyć aby ludzie dobrej woli dopomagali do rozwinięcia wśród włościan przemysłu tkackiego. Długie zimowe wieczory schodzą często na próżnowaniu, a potem bieda zagląda do chat. Zapobiedz temu można uprawą lnu i konopi, a także zaprowadzeniem warsztatów tkackich po wsiach. Moje kochane *Dadzibożki* dawały pod tym względem dobry przykład, ale dawno nie miałam od nich listu, może zapomniały już o *Jaskółce*.

Pytasz *Fiołku* z czego najkorzystniej wyrabiać papier, otóż podzielę się chętnie z memi pisklętami ciekawą wiadomością. Papier, jak wiecie, wyrabiano dotąd z gałganów, probowano robić go także ze słomy, ale od niedawna zaczęli *Holendrzy* używać zamiast gałganów łodyg, a nawet liści kartoflanych i w ten sposób otrzymany papier okazał się doskonałym.

Nie zgadnę *Miry* do jakiej przechodzisz klasy życzyć ci jednak w każdej, przyjaźni koleżanek i nagrody za dobrą naukę, bo jesteś jedną z dawnych korespondentek, a ja cenię wierną o «*Wieczorach*» i *Jaskółce* pamięć. Nigdy nie byłam w *Ciechocinku*, trzeba ci wiedzieć, że radabym zajrzeć w każdy kącik naszej ziemi, zwłaszcza tam, gdzie tak wielu ludzi odzyskało zdrowie. Ale czego ci najczęściej zazdroścę to twoich odwiedzin w *Kolonjach Letnich*. Jakże chętnie spieszyłabym z tobą do *gromadki malców*, które może pierwszy raz widzą las, pola zasiane zbożem, pierwszy raz zbierają niezapominajki i bławatki. Patrząc na wesołe minki dzieciaków myślałaś zapewne z radością, że dary wasze nadsyłane redakcyi «*Wieczorów*» przyczyniły się do wyprawienia na *Kolonie* niejednego biedaka, niejednego malec odzyska zdrowie dzięki dobremu sercu moich korespondentów. Więc dumna i szczęśliwa czuje się tą myślą wasza

Jaskółka.

Od Redakcyi.

Do dzisiejszego numeru dołączamy *Zeszyt sierpniowy* dodatku z powieścią *M. Zielińskiej „Giermek Zawiszy Czarnego“* (ark. 19—24).

Frenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna - miesięcznie w Warszawie kop. 35.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Gospodarstwo mrówek (z 2 ryc.) — Z rozmyślań letnich (wiersz) przez *Bożymira*. — Przygody *Imc Pana Miłkołaja*, przez *Z. Morawską*. — Bezrobocie zwierząt, przez *B. Buyno*. — Z wycieczek wakacyjnych (z 2 ryc.) przez *B. Dyakowskiego*. — Król przestrzeni, przez *J. Verne'a*. — Ze świata (z ryc.) — Skrzynka do listów. — **Dodatek:** Wiersz do *Maryli*, przez *J. Jankowskiego*. — Porwany przez wilki, przez *S. Krauzę*. — Dzielną *Jędrus*, przez *J. Piasecką*. — Strzelanie z dmuchawki (z ryc.) — Żadania i łamigłówki.

Redaktorka *Ludwika Hauke*. Wydawczyni *Marya z Chomentowskich Balińska*.